

Muszę ci powiedzieć, że moje życie miłosne jest pod wieloma względami popieprzone. No wiesz, z naukowego punktu widzenia.

Zgodnie z hipotezą właściwego doboru dwie osoby mają większą szansę na stworzenie udanego związku, jeżeli obie charakteryzuje taki sam poziom atrakcyjności. Atrakcyjność może być mierzona zamożnością albo sławą, ale zwykle określa ją wygląd fizyczny. To znaczy, że większość ludzi zakochuje się — na chwilę i na dłużej — w osobach, które są tak samo pociągające.

W latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku naukowcy zorganizowali Komputerową Potańcówkę, która miała odlotową nazwę, ale naprawdę nie była ani taka fajna, ani futurystyczna, jak można by sądzić. Wszystko sprowadzało się do tego, że czwórka jurorów przyznała grupie uczestników punkty za atrakcyjność fizyczną, a potem połączyła ich losowo w pary (oczywiście żadnemu

mężczyźnie nie mogła się trafić wyższa od niego kobieta, żeby, broń Boże, nie ucierpiała jego męskość!). Podczas przerwy każdy z uczestników został poproszony o ocenę partnera, a wyniki pokazały, że najbardziej podobali się sobie partnerzy o podobnym współczynniku atrakcyjności.

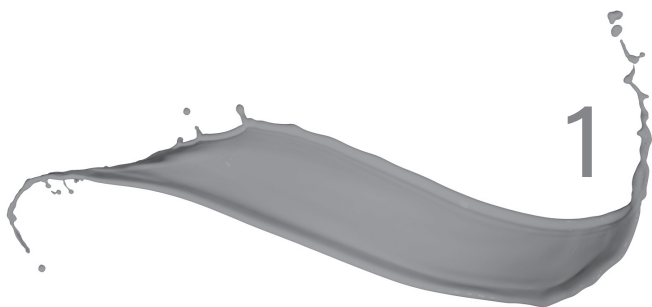
Wiem, szok.

Lata sześćdziesiąte równie dobrze mogłyby być epoką Tudorów, lecz niestety w dobie randek internetowych ta teoria wciąż miewa się doskonale. Jedno z najnowszych badań polegało na zmierzeniu atrakcyjności sześćdziesięciu mężczyzn oraz sześćdziesięciu kobiet i obserwowaniu interakcji między nimi. Wiele osób przynajmniej próbowało nawiązać kontakt ze znacznie atrakcyjniejszymi uczestnikami (pewnie dlatego, że na randce online nie musieli się bać odrzucenia po pierwszym spotkaniu twarzą w twarz — co jest jedną z zalet Internetu), ale ostatecznie ustalono, że adresat chętniej odpisywał tym, którzy znajdowali się bliżej niego na skali seksowności.

Nie, nie — nie wpadł ci w ręce miesięcznik poświęcony psychologii społecznej, tak jak to mnie się zdarzyło pewnego upojnego wieczoru, kiedy z kieliszkiem merlot, rocznik 2003, szukałam informacji o Walsterach.

Po prostu zastanawiam się, czy hipoteza właściwego doboru nie ma pewnego uzasadnienia.

Fuj.



On ma na imię Haruki i nie wie o moim istnieniu. Dobra, dobra — to oklepana historia, jakich wiele w szkole średniej. Ale klisze są kliszami dlatego, że zwykle mówią prawdę. A ta konkretna klisza — niepopularna kujonka zadurza się w szkolnym przystojniaku — stanowi gotowy przepis na nieszczęście.

Haruki ocieka charyzmą. Znasz ten typ. Sportowiec, którego na korytarzach szkoły zawsze otacza wianuszek wyznawców, jakby co najmniej był nowym wcieleniem Jezusa. Jego rodzice są traktowani w naszym miasteczku niemal jak rodzina królewska, bo są właścicielami wartej wiele milionów dolarów sieci hoteli, która dominuje na Środkowym Zachodzie. Na pewno nie przeszkadza też fakt, że Haruki wygląda jak supermodel, chociaż ma taką samą zwyczajną fryzurę jak połowa przystojnych nastolatków w Ameryce. No i chodzimy razem na te same zajęcia z nauk ścisłych dla uczniów wybierających

się na studia. Haruki raczej nie znajduje się w czołówce, ale jest niesamowicie bystry.

A zatem, podsumowując — Haruki Ito? Zupełnie inna liga niż ja. A właściwie to zupełnie inna dyscyplina sportowa.

Zapewne cię nie zdziwi, że nie jestem jedyną dziewczyną w Edgewood High, która kocha się w nim do szaleństwa. I — czego oczywiście nie mogło zabraknąć w tropie dotyczącym nieodwzajemnionej miłości — jestem absolutnie pewna, że tylko ja naprawdę go znam. Bez względu na to, że on, no wiesz, nie ma o mnie blade-go pojęcia.

(Chcę, żeby to ostatnie zdanie naprawdę do ciebie dotarło. Mogłabym w tej chwili stanąć przed nim na biurku i odtańczyć bardzo skomplikowaną macarenę, a on patrzyłby przed siebie takim wzrokiem, jakby fale świetlne po prostu zakrzywiały się dokoła mnie. Zresztą może to prawda. Nigdy nie wiadomo.)

Dzisiaj mamy podwójną lekcję fizyki, co normalnemu uczniowi liceum może się zdawać okrutną, wymyślną torturą, ale ja nie jestem normalna, więc dla mnie to raczej spełnienie najskrytszych fantazji.

Uwielbiam nauki ścisłe. Okej, nie przepadam za biologią, bo jest taka... trochę brudna, nieprzewidywalna i często brzydko pachnie. Ani za chemią, bo na lewej ręce od kilku lat mam bliznę po oparzeniu palnikiem Bunsena. Ale fizyka? Za fizykę dałabym się pokroić. To mój język rozkoszy. Czysta i skuteczna, nieskompliko-

wana, a jednocześnie wielowymiarowa — i ma sens. Jest dla mnie jedną z niewielu rzeczy, które go mają. A zatem, jeśli zechcesz mnie zwabić do sypialni, to mów do mnie Newtonem.

Pani Torres prowadzi lekcję o właściwościach gazów w temperaturze pokojowej, ale w związku z tym, że odłąd ukończyłam trzynaście lat, mam w małym palcu całą termodynamikę — i większość innych aspektów mechaniki klasycznej — daje mi do czytania w tym czasie artykuły akademickie poświęcone współczesnej fizyce, pod warunkiem że: a) będę też odrabiać normalne lekcje oraz b) nie powiem o tym innym uczniom. A zatem czytam o antymaterii i nie zwracam szczególnej uwagi na treść lekcji. Nagle słyszę, że Haruki coś mówi.

Jego głos sprawia, że moje serce na chwilę zamiera. (Gdyby to zdanie przeczytał mój tata, który wszystko bierze dosłownie, niemal na pewno wysłałby mnie do lekarza, żeby sprawdzić, czy nie mam arytmii.)

— Przepraszam, pani Torres — Haruki wchodzi w słowo nauczycielce. Ta skinieniem głowy zachęca go, żeby mówił dalej. — W temperaturze bliskiej zera bezwzględnego rozkład Maxwella-Boltzmanna nie uwzględnia dającego się zaobserwować oddziaływania cząsteczek gazów. Zdaje się więc, że powinniśmy stosować nowoczesne rozkłady, takie jak rozkład Fermiego-Diraca albo Bosego-Einsteina, prawda?

Zaintrygowana odkładam ołówek. Pani Torres ociera wierzchem dłoni pot z czoła. W klasie panuje piekielna

temperatura, wywołana niespotykaną w drugiej połowie września falą upałów.

— Masz rację, Haruki.

Ten marszczy brwi i pyta tonem sugerującym, że z góry zna odpowiedź, ale chce pokazać, że się z nią nie zgadza.

— No to dlaczego nie stosujemy tych rozkładów?

Pani Torres wzdycha i odpędza bzyzącą muchę.

— Dlatego, że program nauczania dla szkół średnich w naszym stanie nie obejmuje fizyki kwantowej.

— A dlaczego? — Haruki uczeplił się jak pies kości.

Jak bardzo, ale to bardzo atrakcyjny pies. To oczywiście nie znaczy, że jestem dziwaczką, która czuje pociąg do psów, ani nic w tym rodzaju. Zresztą mniejsza z tym.

Uczniowie zaczynają się niespokojnie wiercić na twardych, plastikowych krzesłach. Nic nie mówią, ale chcieliby, żeby kolega już sobie odpuścił. Ich zniecierpliwienie niemal daje się fizycznie odczuć, ale Haruki nie ma zamiaru skończyć. Mówi więc:

— Jeżeli jesteśmy w stanie zrozumieć te tematy, to dlaczego się o nich nie uczymy?

Pani Torres zaciska usta i znowu wzdycha. Minęła druga po południu, a na dworze robi się coraz goręcej. Ech, te zmiany klimatyczne. Nie dziwię się pani Torres, że traci nerwy, ale Haruki ma rację — moi rodzice od czasu do czasu też pytają radę szkoły o to samo.

Jednak pani Torres jak zawsze cierpliwie odpowiada:

— Bo chcąc naprawdę zgłębić niektóre z tych problemów naukowych, musimy znać matematykę na bardzo zaawansowanym poziomie. Z badań jasno wynika, że przeciętny siedemnastolatek raczej nie ma takiej wiedzy.

Haruki prycha.

— Aha, czyli upraszczamy program nauczania, żeby go dopasować do najniższego wspólnego mianownika?

Podzielam jego opinię, ale nie podoba mi się, że jest taki uparty. Nauczycielka przecież nie jest temu winna.

Pani Torres przysiada na biurku i obejmuje palcami nasadę nosa. Nosi buty na obcasie, obcisłą bluzkę i jeszcze węższą, prostą spódnicę. Wystarczy na nią popatrzeć, żeby samemu się spocić i poczuć niewygodnie. Od razu myślę z wdzięcznością o swobodnym stosunku naszej szkoły do kwestii stroju — dzięki temu mogę dzisiaj mieć na sobie szorty i klapki. Paznokcie u moich stóp wyglądają tak, jakby specjalnie chciały mi zrobić przykrość, ale w tej chwili przewiewne buty ratują mi życie.

Pani Torres nie tracąc cierpliwości, odpowiada:

— Niestety, Haruki, te zasady obowiązują każdego tak samo. A teraz wróćmy do...

— Nie. Nie każdego obowiązują tak samo — mówi ostro Haruki i odkłada ołówek na biurko. — Wygląda na to, że Caro Murphy nie musi się uczyć mechaniki klasycznej. W odróżnieniu od reszty z nas.

Słyszając swoje nazwisko, sztywnieję na krześle.

Właściwie to jedynie część mojego nazwiska. Naprawdę nazywam się Caro Kerber-Murphy. Ale wiesz, o co chodzi.

Cała klasa oprócz Harukiego zwraca się w moją stronę, co sprawia, że publiczna dekonspiracja jest tym bardziej upokarzająca.

W myślach chaotycznie szukam odpowiedzi na pytanie, skąd Haruki zna dwie trzecie mojego nazwiska. Moja teoria, że posiadam moc zakrzywiania promieni świetlnych, właśnie legła w gruzach.

Zapada ciężkie milczenie. Co powinnam zrobić w takiej sytuacji? Udawać, że go nie słyszałam? Bronić się? Bronić pani Torres? Dlaczego nie istnieje żaden podręcznik radzenia sobie w paralizujących sytuacjach? A może jest? Może właśnie w tej chwili powinnam zamówić go z ekspresową dostawą z Amazona? Czy już mają w ofercie dostawę w ciągu sekundy? Na pewno nad czymś takim pracują.

Dział badań i rozwoju Amazona oczywiście ma w nosie moją trudną sytuację, więc robię to, co każdy introwertyczny nerd zrobiłby na moim miejscu — udaję, że świat wokół mnie nie istnieje, i siedzę zaczytana, jakby kompletnie pochłonęła mnie historia pewnego eksperymentu opisanego w artykule, który mam przed oczami.

W uszach huczy mi tak, że ledwo słyszę, jak pani Torres mówi:

— Panie Ito, zapraszam po lekcji do mojego gabinetu. Tam to omówimy.



Mija jakieś pół godziny, zanim mój układ krwionośny odzyskuje normalną funkcjonalność. W tym czasie poddaję obsesyjnej analizie to, co się zdarzyło w ciągu ostatnich kilku minut.

Przede wszystkim zaczyna do mnie docierać, że Haruki jednak jest świadom mojego istnienia, co samo w sobie jest rewolucyjnym odkryciem.

Po drugie, można odnieść wrażenie, że zauważył mnie, bo specjalne traktowanie wzbudziło jego pogardę. Okej, na jego miejscu sama bym się wkurzyła.

Ale usychający z miłości piesak w moim sercu cierpi przez to jeszcze bardziej. A jeśli pogarda zabije wszystkie potencjalne przeszłe, obecne i przyszłe romantyczne uczucia we wszystkich odmianach — łącznie z tymi, których jeszcze nie odkryliśmy?

Po dzwonku oznajmającym koniec lekcji szybko wkładam ołówki i gumki z powrotem do skórzanego piórnika i zarzucam plecak na ramię. Pasek od razu układa się w wygodnym wgłębieniu wyżłobionym przez wiele lat dźwigania podręczników. Przysięgam — już tak długo jestem zatwardziałym nerdem, że odbiło się to na mojej postawie i w ogóle na całej anatomii. Stałam się prawdziwym Quasimodo, o ile Quasimodo mógłby się pochwalić ekspercką wiedzą z zakresu kinematyki. Może zresztą mógł, tyle że o tym nie wiemy.

Wiem, że niestety po drodze do drzwi będę musiała przejść koło ławki Harukiego. Pochyliam głowę tak, że podbródek prawie wbija mi się w pierś, i zbliżam się nie-

mal na palcach. Nagle Haruki odchrząkuje. Wkurzająca, wywołana emocjami arytmia znowu daje znać o sobie. Zatrzymuję się, żeby na niego zerknąć. Przez słodką milisekundę nadzieja wzbiera we mnie i bulgocze w moim żołądku.

Nasze spojrzenia się spotykają i...

W jego wzroku nie widzę ani śladu zainteresowania. Dokładnie tak, jak się spodziewałam. Od razu staje się jasne, że nie odchrząknął po to, żeby zwrócić moją uwagę. Po prostu przeczyścił gardło. A ja jak idiotka zatrzymałam się w pół kroku i patrzę na niego oczarowana.

Zerka na mnie tak, jakby chciał powiedzieć: „Na co się gapisz, nędzny robaku?“, a potem idzie na spotkanie z panią Torres.

Powłócząc nogami, odchodzę zrezygnowana i przygnębiona. Kiedy stoję przed szafką mojej najlepszej przyjaciółki, jestem już całkiem pewna, że dumny orzeł bielik przestał być moim patronusem. Zastąpił go Kłapouchy z *Kubusia Puchatka*.

— Hej, dziewczyno! Co tam? — pyta Keiko.

Jej skate'owa sukienka w wielkie słoneczniki i włosy z niebieskimi końcówkami atakują moje oczy, ale w takim bardzo pozytywnym sensie. Ma na uszach purpurowe słuchawki, z których dobiegają dźwięki jakiejś nowej kapeli indie, więc ledwo słyszy, jak mamrocę po nosem odpowiedź.

Haruki wie, kim jestem. Ale po prostu mało go obchodzi.